

## **Bohdan Szklarski: Sąd Najwyższy USA, czyli polityczność ponad polityką**

Uprawnienia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych bazują na uznaniu, jakim darzą go zarówno elity, jak i reszta społeczeństwa. Pochodzą z potrzeby, żeby instytucja z taką władzą w społeczeństwie istniała – mówi amerykańista, Bohdan Szklarski w wywiadzie udzielonym Teologii Politycznej.

**Amber Steele-Zielińska (Teologia Polityczna):** W minionym roku, za sprawą zażartej walki o obsadę Sądu Najwyższego USA mogliśmy przekonać się jak ważną i potężną instytucją jest on w amerykańskim systemie politycznym. Mówiąc w największym skrócie, łączy zadania naszego Sądu Najwyższego oraz Trybunału Konstytucyjnego. W jaki sposób skupił tyle władzy? Czy tak było już od ratyfikacji Konstytucji Stanów Zjednoczonych w 1788 r.?

**Bohdan Szklarski (politolog, amerykańista, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego):** Istotą zakresu władzy Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych jest szacunek, jakim ta instytucja jest darzona. Jeśli przypatrujemy się prerogatywom czysto formalno-prawnym wymienionym w Konstytucji, to one takie mocne wcale nie są. Sąd Najwyższy występuje w Artykule 3, ale tylko w roli najwyższego sądu apelacyjnego – czyli bez politycznej roli, którą dziś uznajemy za kluczową. Mam na myśli możliwość wydawania opinii, które stanowią wiążące interpretacje Konstytucji. A tę moc Sąd Najwyższy uzyskał

dopiero w roku 1803 na podstawie słynnej decyzji w rozprawie *Marbury kontra Madison*. Ustalono wtedy, że Sąd Najwyższy może ustawy przegłosowane przez Kongres uznać za niezgodne z Konstytucją i tym samym je obalić.

### **Czy amerykańskiemu społeczeństwu nie przeszkadzał zwiększający się zakres władzy tej instytucji?**

Sądzę, że początkowo było to dość wygodne dla Amerykanów, że istnieje instytucja, która jest poniekąd ponad bieżącymi konfliktami politycznymi. Przecież Sąd Najwyższy musi poczekać, aż sprawa do niego zawędruje. Inaczej jest z sądami najwyższymi czy trybunałami konstytucyjnymi, które znamy z Europy. One mogą być zapytane o konstytucyjność danego prawa lub ustawy. To dużo szybsza droga niż skarga obywatela w USA, bo taka skarga musi przejść szereg instancji zanim – ewentualnie – trafi do Sądu Najwyższego, a wtedy on nawet nie musi jej wysłuchać. Zaledwie 5% spraw, które dochodzą do Sądu Najwyższego USA stają się przedmiotem obrad Sądu. Oto ogromna władza oraz polityczna rola Sądu, który sam decyduje o czym ma decydować. To też jest źródłem jego autorytetu. Wracając do możliwości interpretacji Konstytucji, która się nazywa *judicial review*, to od 1803 roku ten przywilej – właściwie świętość – nigdy nie został poważnie podważony.

Elitom amerykańskim również było na rękę, aby istniała tak mocna instytucja, potrafiąca rozstrzygać konflikty, z którymi politycy sobie albo nie radzą, albo od nich stronią. Takim przykładem jest aborcja wokół której od 1973 roku toczy się gorąca dyskusja. Sąd Najwyższy w orzeczeniu w sprawie *Roe kontra Wade*, pozwolił wówczas na aborcję

*Sąd Najwyższy odpowiada  
tylko przed Bogiem i historią.  
Sędziowie albo służą do  
śmierci, albo tak długo, jak  
będą chcieli sprawować urząd*

pod pewnymi warunkami. Próżno natomiast szukać takiej dyskusji w Kongresie. Z Sądem Najwyższym rzecz wygląda inaczej – jest on instytucją, która nie odpowiada

na bieżąco przed nikim, lecz tylko przed Bogiem i historią. Sędziowie albo służą do śmierci, albo tak długo, jak będą chcieli sprawować urząd. Teoretycznie można ich usunąć, ale nigdy nie doszło do wszczęcia procedury impeachmentu wobec sędziego Sądu Najwyższego.

Słowem, mamy instytucję, która stoi ponad polityką, bo nie jest uwikłana w bieżące polityczne spory, a jednocześnie jest szalenie polityczna, bo rozstrzyga o konstytucyjności praw. Stąd swoista aura Sądu Najwyższego, ponieważ gdy Amerykanie twierdzą, że nie mogą czegoś rozstrzygnąć, to patrzą na niego z nadzieją. Tyle że – niczym wyrocznia z mitów – jak Sąd zechce, to powie. A jak nie zechce, to milczy.

**Sąd Najwyższy jest również i ważnym instrumentem w przeprowadzaniu daleko idących przemian politycznych i społecznych. Wystarczy wspomnieć przywołaną już sprawę *Roe kontra Wade* z 1973 r., na podstawie której zalegalizowano aborcję. Jakie kompetencje umożliwiają Sądowi taką władzę? Skąd się ona wywodzi?**

Przede wszystkim z uznania społecznego. Uprawnienia Sądu Najwyższego bazują na uznaniu, jakim darzą go zarówno elity, jak i reszta społeczeństwa. Pochodzą z potrzeby, żeby instytucja z taką władzą w społeczeństwie istniała. Dlatego nie przewiduję, by coś miało się w znaczący sposób zmienić. Przypuszczalnie Amerykanie mogliby napisać poprawkę do Konstytucji, która by usankcjonowała zasady *judicial review*, ale zasada ta jest postrzegana tak nienaruszalnie, że nigdy nie było potrzeby na taką poprawkę.

Trzeba poza tym pamiętać, że Sąd Najwyższy jest nie tylko instrumentem w przeprowadzaniu zmian, ale również instrumentem w hamowaniu zmian. Jego popychanie społeczeństwa amerykańskiego do przodu jest po prostu lepiej widoczne. Na przykład, sławna decyzja *Brown kontra Board of Education* z 1954 r., ustanawiająca desegregację, obaliła dwie wcześniejsze decyzje. Pierwsza to *Dred Scott kontra Sandford* z 1857 r., która potwierdziła, że czarny niewolnik pozostaje własnością białego człowieka nawet wtedy, gdy mieszka w wolnym stanie. Druga to decyzja z roku 1896 – *Plessy kontra Ferguson*, która orzekła, że segregacja jest zgodna z Konstytucją.

**To przykład na to, że Sąd Najwyższy może być instrumentem w przeprowadzaniu szybkich zmian, a kiedy był „hamulcowym zmian”?**

Kontrprzykład mamy w połowie lat 30. Prezydent Franklin Delano Roosevelt popadł wtedy w najpoważniejszy konflikt z Sądem Najwyższym w historii USA. Roosevelt był propagatorem nowego dla Ameryki typu polityki, polityki „Nowego Ładu”, angażującego państwo

znacznie bardziej niż dotąd w politykę społeczną i gospodarczą, a Sąd Najwyższy przez kilka lat był czynnikiem hamulcowym wobec tej zmiany.

Otóż Sąd Najwyższy odzwierciedlał wtedy poprzednią epokę, laissez-faire'owską, socjaldarwinistyczną, jeszcze z czasów Gilded Age czy też „roztańczonych” lat 20. Sąd Najwyższy wkładał kij w szprychy zmianom „Nowego Ładu” do tego stopnia, że Prezydent Roosevelt był gotów zmienić jego skład. Skoro nie mógł odwołać sędziów, zamierzał dodać sześciu nowych – po to, żeby Sąd już nie był zachowawczy, lecz progresywny, czyli liberalny. Na to przedsięwzięcie ani Kongres się nie zgodził ani społeczeństwo, mimo że prezydent dopiero co – i ze zdecydowaną przewagą – w 1936 r. został ponownie wybrany. I mimo że polityka „Nowego Ładu” była niezwykle popularna w społeczeństwie. Mandat wyborczy Roosevelta jednak nie zawierał przyzwolenia na tykanie Sądu Najwyższego. Dlatego mówimy o „świętości”. I choć czasami niechęć wobec Sądu Najwyższego daje o sobie znać, to i tak, jak wiemy z czasów Roosevelta, ona raczej nigdy nie przerodziła się w próbę odebrania Sądowi jego przywilejów.

*Sąd raczej niechętnie  
podejmuje się spraw, do  
rozstrzygnięcia których  
Ameryka jeszcze nie dojrzała*

Dziś Sąd jednakże  
nie czeka na kolejną  
kwestię do  
rozstrzygnięcia, za  
sprawą której można  
by Amerykę zmienić.  
Sąd raczej niechętnie

podejmuje się spraw, do rozstrzygnięcia których Ameryka jeszcze nie dojrzała. Inaczej było, na przykład, z desegregacją – z decyzją *Brown kontra Board of Education* z 1954 r. W tym przypadku Sąd Najwyższy

był w awangardzie zmian, ale to jest bardzo rzadkie zjawisko. Typowe natomiast jest zachowanie Sądu takie jak miało miejsce w sprawie małżeństw jedнопłciowych. To nie Sąd Najwyższy jako pierwszy uznał je za konstytucyjne. Nie – sprawa najpierw toczyła się na szczeblu stanowym. Odbywały się różne referenda i poszczególne Stany już wcześniej uznały tego typu małżeństwa. Sąd Najwyższy co najwyżej nie czekał tak długo, jak zazwyczaj, co mogło stworzyć wrażenie, że zadziałał szybko.

**Od dekad istniała pewna równowaga w Sądzie Najwyższym. Było po 4 sędziów po każdej ze stron – 4 lewicujących i 4 konserwatystów – oraz sędzia rozstrzygający, „symetrysta”. Tym dziewiątym od czasów Reagana był Anthony Kennedy, który głosował czasem za lewicą, a czasem za prawicą. Sędzia Kennedy zrezygnował w tym roku, co dało Prezydentowi Trumpowi szansę wyznaczyć nowego sędziego – a nim jest konserwatysta Brett Kavanaugh. Co więcej, Trumpowi może przypaść obowiązek mianowania zastępcy dla 85-letniej sędziny Ruth Ginsburg, która zawsze głosuje z lewicową połową składu sędziowskiego. Jakie konsekwencje może to mieć dla amerykańskiej polityki w perspektywie kilkunastu, a nawet kilkadziesiąt lat?**

W swoim pytaniu odnosi się Pani do lewicowych i konserwatywnych sędziów. Oczywiście, jest to uprawnione. Afiliacje polityczne sędziów ujawniają się w czasie nominacji. Niedawno odbyła się zaciekle walka wokół nominacji Kavanaugha. Prawie wszyscy republikanie byli za, prawie wszyscy demokraci byli przeciw. Pojawiła się głośna dyskusja na temat „skrzywienia konserwatywnego”, które teraz się umocni w Sądzie. Wielu jednak wyobraża sobie, że nowy Sąd, mający teraz więcej konserwatystów, czeka tylko na to, żeby jak najszybciej wziąć się za

sprawy, które pozwolą mu podkreślać to, co się stało od lat 60. Mam na myśli serię decyzji Sądu, które wspierały prawa mniejszości, prawa kobiet czy różnorodność społeczeństwa.

Niemniej w swoich orzeczeniach sędziowie piszą różnorodne opinie, ale nie ma w nich przeniesienia ideologiczno-politycznych sporów. Tam się powołuje na precedens, szuka się wcześniejszych rozwiązań. Decyzje legitymizuje się tym, co Sąd zrobił wcześniej. Ogromnie istotne jest powoływanie się na ciągłość – dlatego zmiany są ewolucyjne a nie rewolucyjne. Trzeba sobie uzmysłwić, że Sąd reprezentuje pewne dążenie, nie tyle do kompromisu, co nawet do konsensusu.

*Ogromnie istotne jest  
powoływanie się na ciągłość –  
dlatego zmiany są ewolucyjne  
a nie rewolucyjne*

Najlepszym  
przykładem z  
ostatnich lat  
pokazującym jak  
różnie to bywa z tzw.  
podziałem na  
konserwatystów i

progresywiście jest sprawa Obamacare. Otóż Obamacare stało się swoistym papierkiem lakmusowym na konserwatyzm. I słusznie, gdyż dotyczy ono finansów państwa i zakresu władzy państwa – dokładniej, czy państwo może zmuszać obywateli do ubezpieczania się oraz pracodawców do tego, by częściowo opłacali ubezpieczenie pracownika. Prawa strona mówiła „absolutnie, to uderza w wolność obywateli, w wolność pracodawcy”. Gdy część ustawy, którą traktowaliśmy jako test dla Obamacare, stanęła przed Sądem Najwyższym, głosy rozłożyły się 4:4 – ale rozstrzygającym głosem, tym dziewiątym sędzią, który sprawił, że Obamacare zostało uznane za zgodne z Konstytucją, był sędzia John G. Roberts, mianowany przez George’a W. Bush’a –

ponieważ był konserwatystą! Teoretycznie zatem, Roberts powinien był z radością uśmiercić tę ustawę. Roberts jednak ją uratował, uznając, że opłata na leczenie Obamacare bardziej przypomina podatek. Słowem, pozornie konserwatywny sędzia potwierdził zgodność konstytucyjną ustawy, która w oczach konserwatystów była synonimem lewicowości.

**Wielu obserwatorów amerykańskiej sceny politycznej sądzi jednak, że można przewidzieć kierunek decyzji podejmowanych przez Sąd Najwyższy.**

Oczywiście, prawdopodobieństwo, że Sąd skręci w prawo jest znaczące, ale wszystko zawsze zależy od uzasadnień wyroków. Są bowiem decyzje, które dziennikarze, komentatorzy i grupy nacisku interpretują jako daleko idące, a potem jednak okazuje się, że one dotyczą tylko fragmentu czegoś. Tak jest z ograniczeniem prawa do aborcji, które toczy się powoli. Po kawałeczku. Na przykład, że ci co przeprowadzają aborcje muszą mieć stanową licencję. Ale nigdy przy żadnej okazji Sąd nie obalił politycznego kompromisu z 1973 r., nigdy nie zrobił tego kolejnego kroku, żeby go unieważnić. Tak jak z drogą od aprobaty segregacji do desegregacji – okazje dla Sądu były, ale nie zostały nigdy wykorzystane. Czyli być może ten konserwatyzm, który się ujawni w Sądzie, wyrazi się w sposób ewolucyjny – a nie przybierze on, tak jakby chcieli konserwatyści, albo tak jak się boją lewicujący, rewolucyjnego charakteru. Nawet podczas sporu Roosevelta z Sądem, to Sąd powoli przeszedł na stronę „Nowego Ładu”. Zaczął powoli akceptować niektóre ustawy, sędziowie łagodzą stanowiska. Potem zrezygnował jeden, następnie drugi sędzia. Roosevelt dostał to, co chciał i sprawy ostatecznie potoczyły się łagodnie. Myślę, że trzeba zachować cierpliwość.

Natomiast na pewno możemy mówić o skręceniu w prawo, bo całe społeczeństwo amerykańskie skręciło w prawo. Nie żyjemy w latach 60. Dzisiaj elity polityczne tworzą ludzie, nazywani Baby Boomers, którzy wyrosli w latach 60. na protestach, walcząc o prawa mniejszości. Mają władzę, ale są w zaawansowanym wieku; niektórzy z nich, co jest rzeczą naturalną, skręcili w prawo. Z wiekiem ludzie zmieniają poglądy na bardziej centrowe, może prawicowe. Taka jest dzisiejsza Ameryka. Choć przeciętny obywatel niekoniecznie widzi te zmiany społeczne, to jednak ci, którzy badają amerykańskie społeczeństwo mówią, że jednoznacznie skręciło w prawo. A Sąd Najwyższy odzwierciedla mentalność Ameryki, choć zawsze z pewnym opóźnieniem.

**Od XIX wieku w skład Sądu Najwyższego wchodzi dziewięciu sędziów. Jednak od paru lat pojawiają się pomysły, by powiększyć skład do kilkunastu. Demokraci właśnie zdobyli większość w Izbie Reprezentantów, być może za dwa lata zdobędą i Senat. Jeśli już, czy uważa Pan Profesor za możliwe, by demokraci spróbowali zwiększyć liczbę sędziów, aby przechylić szalę na swoją stronę, jak usiłował zrobić to Franklin Delano Roosevelt w latach 30. ubiegłego wieku?**

Myślę, że dyskusje na ten temat są peryferyjne, że to nie są dyskusje z serca amerykańskiej polityki. Przecież po tym, co się stało w 1936-37 r. z propozycją Roosevelta, nikt już nie ruszy Sądu Najwyższego. Dziś Prezydent posiadający bardzo wyraźny mandat wyborczy do propagowania polityki, która jest bardzo popularna, w zderzeniu z Sądem tylko przegrywa – zarówno w oczach społeczeństwa jak i w

oczach elit, upatrujących w jego działaniach próby uzurpacji władzy. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał wpłynąć na skład Sądu Najwyższego poprzez zmianę liczby jego sędziów.

*Amerykańska demokracja ma wbudowane w siebie coś, czego my w Polsce nie rozumiemy: cierpliwość*

Amerykańska demokracja ma wbudowane w siebie coś, czego my w Polsce nie rozumiemy, zresztą inne europejskie

demokracje też mają z tym problem: cierpliwość. Cierpliwość, że jakoś to się ułoży. To się różni od „jakoś to będzie”, od „nie zależy mi na tym”. W Stanach Zjednoczonych nawet gdy mi zależy, to rozumiem, że nie mogę naruszać pewnego ładu instytucjonalnego po to, żeby albo utrwalić moją wizję, która w tej chwili ma swoje 5 minut, albo nie dopuścić do pewnej zmiany, która się rodzi. Zasada fair play jednak nadal obowiązuje.

**Czy w USA nie można wpływać na sądownictwo, manipulować nim?**

Oczywiście, że można, ale nie Sądem Najwyższym. Pamiętajmy, że w amerykańskiej demokracji większość sędziów stanowych jest wybierana, nawet sędziowie stanowych sądów najwyższych pochodzą z wyboru. Tym bardziej *traffic courts* czy inne drobne sądy. Władza sądownicza jest w wielu miejscach powoływana, jak to się w Polsce mówi, przez suwerena w drodze wyborów. Natomiast sądy federalne i Sąd Najwyższy nie zostały objęte zasadą wybieralności. Amerykanie nie

mają powodów, żeby twierdzić, że są sądzeni przez jakąś kastę – wyalienowaną od społeczeństwa grupę. Wręcz przeciwnie, zupełnie nie potrzebują kolejnego miejsca, w którym triumfowałyby spory polityczne.

*Nie sądzę, żeby dzisiaj w  
Ameryce był problem  
wymagający od Sądu kroku  
milowego*

Zamiast wielkiego  
kroku milowego jest  
zawsze kroczek,  
potem być może  
następny i  
następny... Ale nie  
będzie wielkiego

kroku milowego. Jednak nie sądzę, żeby dzisiaj w Ameryce był problem wymagający od Sądu kroku milowego, który w powszechnym odczuciu Amerykanów nie dałby się rozwiązać w normalnej procedurze. Brak praw obywatelskich dla mniejszości afroamerykańskiej był skazą na honorze Ameryki, dzisiaj takiej sprawy nie ma. Są wprawdzie niezwykle gorące spory polityczne, jak kwestia aborcji czy praw różnych mniejszości, ale to sprawy drobniejszego kalibru. Nie oszukujmy się: one nie dotyczą istoty tego czym jest Ameryka w naszych wyobrażeniach o niej.

**Sąd Najwyższy popełnił wiele błędów w swojej historii. Chyba wszyscy Amerykanie zgadzają się, że jeden z największych to przywołany już *Dred Scott kontra Sandford* z 1857 r., gdy Sąd zdecydował, że niewolnicy – nawet wtedy, gdy znajdują się w stanach, w których niewolnictwo było nielegalne – pozostają majątkiem. Na dłuższej liście kontrowersyjnych decyzji jest kilka z ostatnich lat: *District of Columbia kontra Heller* z 2008 r., w której Sąd postanowił, że Druga Poprawka gwarantuje prawo**

**posiadania broni dla osobistego, a nie tylko zbiorowego bezpieczeństwa, czy też *Citizens United kontra FEC* z 2010 r., w której Sąd Najwyższy zezwolił na nieograniczone fundowanie polityków przez firmy. W jakim świetle stawia to działania Sądu Najwyższego? Czyż nie istnieją poważne projekty reform tej instytucji?**

Trzeba pamiętać, że tylko z danej perspektywy poszczególna decyzja może być postrzegana jako pomyłka. Przecież większość Amerykanów wspiera posiadanie broni i nikt przy zdrowych zmysłach nie proponuje delegalizacji. Nawet po strzelaninie w 2017 r. w stanie Nevadzie, gdy zginęło 58 osób, nikt tego poważnie nie proponował. Oponenci starają się co najwyżej ograniczyć dostęp do broni pewnym grupom ludzi albo do pewnych rodzajów broni. Druga Poprawka do Konstytucji, gwarantująca prawo do posiadania broni, jest bardzo dziwnie brzmiącą poprawką, mającą dwie wyraźne części. Pierwsza dotyczy posiadania broni w sprawach państwowych, czyli pospolitego ruszenia. Druga część mówi o wolności obywateli do posiadania broni. Pomiędzy nimi jest przecinek, który, w zależności od interpretacji, może oznaczać „i”, bądź całkowicie oddzielać te dwie części. Pierwsza interpretacja twierdzi, że obywatele mają prawo do posiadania broni tylko w ramach uczestniczenia w pospolitym ruszeniu. Sąd Najwyższy skłonił się do drugiej interpretacji, w której obywatel może posiadać broń zarówno w kontekście społecznym jak i indywidualnie. Ale to jest błąd tylko w oczach tych, którzy uważaliby, że łatwy dostęp do broni jest szkodliwy. Gdy, z dzisiejszej perspektywy, mówimy o sprawach niewolnictwa czy segregacji to używamy argumentów etycznych, piętnujemy to jako zło. Pytamy: jak to możliwe, że nawet Ojcowie Założyciele postrzegali czarnych Amerykanów jako przedmiot, decydując, że liczą się oni do spraw statystyki politycznej jako 3/5 człowieka. To był produkt sporów politycznych w tamtej epoce.

**Było to głównie wynikiem rozłożenia głosów w Kongresie. Gdyby liczono czarnoskórych tak jak białych, stany niewolnicze zyskałyby większość i mogłyby, na przykład, zadecydować o legalności niewolnictwa w każdym stanie.**

Istotnie, kontekst jest bardzo ważny, dlatego nie można od razu oceniać i potępiać. Również z tym przepływem pieniędzy w polityce, związanym z decyzją *District of Columbia kontra Heller*, sprawa nie jest taka prosta. Większość Amerykanów jest jednak zgodna, że ten przepływ jest zbyt swobodny, że pieniądze odgrywają zbyt dużą rolę w polityce. Natomiast, te pieniądze są po obu stronach, przez co ich wpływ się, po części, równoważy. W niedawnych wyborach do Kongresu, demokraci zebrali ponad 900 milionów dolarów a republikanie ledwo ponad 600 milionów dolarów, czyli ci skądinąd bogaci republikanie, którzy mają dostęp do łatwych pieniędzy z korporacji, zebrali 1/3 mniej niż demokraci. Pieniądze pracują dla obu stron. Ale rzeczywiście, usprawiedliwienie nieskrępowanego przepływu *soft money* przez Sąd Najwyższy jest dziwną decyzją – choć błędem można to nazwać tylko wtedy, jeżeli patrzy się na to z pewnej perspektywy ideologicznej. Dla zwolennika kontroli pieniędzy, zwolennika publicznego finansowania, jest to zła decyzja, błąd. Myślę jednak, że w amerykańskiej polityce, poza sprawami dotyczącymi praw obywatelskich, które w oczywisty sposób kłóciły się z istotą tożsamości amerykańskiej, nie możemy mówić jednoznacznie o błędach czy pomyłkach Sądu Najwyższego. Ani zatem o reformowaniu go. Czyli, jak mówią Amerykanie, *if it ain't broken, don't fix it* – „jeżeli się nie popsuło, nie należy naprawiać”.

*Z Bohdanem Szklarskim rozmawiała Amber Steele-Zielińska*

